

BLUES, KTÓRY NIE BYŁ BLUESEM

Elżbieta Morawiec

Gdyby tę sztukę wystawiał Józef Szajna Murzyni z pewnością nie mieliby twarzy ukształtowanych za pomocą brązowego mazida. Może nosiliby wyróżniające ich od tłumu białych czarne ubrania z numerami, może nawet pasiaki? Może...

Nie chcę przez to powiedzieć, że metoda Szajny jest metodą jedyną i nie chcę bynajmniej wróżyć o przyszłości teatru nowohuckiego z jednego nieudanego spektaklu. A jednak... Przyszycaliśmy się za dyrektora Skuszanki i Szajny właśnie, że mamy w Nowej Hucie dobry teatr. Teatr par excellence polityczny, a równocześnie odważny artystycznie. Scenę, w której repertuarze widniały takie pozycje, jak: „Stan obłączenia” Camusa, „Mysz i ludzie” Steinbecka, „Radość z odzyskanego śmietnika” Kadena-Bandrowskiego, „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwana” Erenburga, „Romulus Wielki” Dürrenmatta, a ostatnio „Zamek” Kafki. I nagle wszystko się zmieniło. Na otwarcie sezonu uraczono nas „Skowronkiem” Anouilha. Jako kolejna premiera zapowiada się komedia muzyczna Zablockiego „Złota szlafmyca” i adaptacja „Zygmuntowskich czasów” Kraszewskiego. Nie mam nic przeciwko Zablockiemu i wodewilom. Ale wydaje mi się, że pomyłką jest takie ustawianie repertuaru w teatrze, którego ambicją było kształtowanie nowego widza teatralnego w oparciu o współczesny dramat, pokroju, jak łatwo zauważyć, odmiennego od dramatów Anouilha! Porzućmy wreszcie naiwne przekonanie, że masowego widza przyciągnie i wychowa się dla teatru uczyć go ABC na tzw. łatwiejszym repertuarze. Tyle — może mu dać telewizja. Teatr żywy — musi zaproponować coś więcej.

Obietnica, po której spodziewać się można było wiele — wydawała się zapowiedź prapremiery sztuki Jamesa Baldwina — „Blues dla pana Charlie”, w przekładzie i reżyserii Ireny Babel, nowego kierownika nowohuckiej sceny. Pierwsze „Skowronki” za płoty — i oto znowu Teatr Ludowy wraca na własną drogę. To złudzenie rozwiąło się. Teatr Ludowy wkroczył tą prapremierą w czas zaprzeszy. Przedstawienie oscylowało między tanią publicystyką, jaką pamiętamy z wczesnych lat pięćdziesiątych i tradycyjnym obyczajowym teatrem, który oglądać można na wszystkich scenach świata. Także na Broadwayu. O ile jednak dla widza z Broadwayu problematyka sztuki byłaby sama przez się drażniącą publicystyką, o tyle u nas teatr musi ją wydobyć i wyjaskrawić — albo pominąć, uczynić teatrem „czystym”. Aby ten blues mógł zabrznieć czysto z polskiej sceny powinien skoncentrować się albo na wyzwaniu rzuconemu światu przez

Richarda Henry, albo pozostać teatrem czystych racji — być może wygłaszanych w niezmiennej scenarii, jaka spektakl otwiera: sali sądowej, na której biali mają swoje białe prawdy wygłaszane z białych miejsc przeciwko prawdom czarnych z czarnych miejsc. Podział świata na nadludzi i podludzi jest widzowi polskiemu wystarczająco bliski, aby ta ascetyczna metafora mogła wypełnić się treścią.

Sztuka, jak cała twórczość Baldwin a poświęcona jest problemowi rasizmu. Rasizmu, którego wyznawcami są zarówno biali jak czarni. Czarni uwierzyli bowiem w swoją rolę „narodu wybranego”, prześladowanego — modlą się i z pokorą znoszą swój